

Szklany klosz

Sylvia Plath

Przełożyła Mira Michałowska

MARGINESY

The Bell Jar

COPYRIGHT © Sylvia Plath, 1963

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY
Piotr Michałowski & Stefan Michałowski

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
WYDAWNICTWO MARGINESY, WARSZAWA 2022

Elizabeth i Davidowi

1

Upalne to było lato, dziwne lato, w którym stracono Rosenbergów, a ja siedziałam w Nowym Jorku i nie bardzo wiedziałam po co i dlaczego. Głupio mi się robi na myśl o karze śmierci. Sama wzmianka o tym, że można uśmiercić człowieka za pomocą prądu, przyprawia mnie o mdłości, a w gazetach o niczym innym nie pisali – wielkie nagłówki wybałuszały na mnie oczy z każdego rogu ulicy, ze zjazdów do kolejki podziemnej ziejących zapachem palonych fistaszków i gazu ziemnego. Nie miałam powodu utożsamiać się z Rosenbergami, ale mimo woli wciąż wyobrażałam sobie, jak to jest, kiedy kogoś smaży się żywcem prądem puszczonego po wszystkich nerwach.

Byłam pewna, że jest to najstraszliwsza tortura, jaką można zadać człowiekowi.

Sam Nowy Jork był wystarczająco ohydny. O dziewiątej rano nie było już śladu po niby to wiejskim powietrzu, co nie wiadomo jakim sposobem wkradało się nocą do miasta. Rozwiewało się, znikało z pamięci niczym słodki sen. Na dnie granitowych kanionów rozpalone ulice dygotały

w słonecznym pyłe. DACHY samochodów skrzyły się i skwierczały, suchy, piekący kurz zapylał oczy, drażnił krtań.

W biurze i w radiu mówiono nieustannie o sprawie Rosenbergów, tak że nie można się było od nich ani na chwilę odzepić. Czułam się więc tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam ludzkie zwłoki. Później przez wiele tygodni głowa tego truposza – a raczej resztki jego głowy – wyzierała nagle w czasie śniadania spoza jaj na bekonie, wyłaniała się zza sylwetki Buddy’ego Willarda – który był przede wszystkim odpowiedzialny za to, że tego trupa obejrzałam – i po pewnym czasie poczułam się tak, jak gdybym ciągnęła za sobą tę straszną głowę na sznurku, jak czarny, beznosy, śmierdzący octem balon na uwięzi.

Tego lata byłam pewna, że dzieje się ze mną coś niedobrego, bo jedyna rzecz, jaka trzymała się mojej mózgowicy, to ci Rosenbergowie i jeszcze to, jaka jestem głupia, że zakupiłam masę kosztownych, niewygodnych sukien, wiszących teraz w szafie jak śnięte ryby, i jeszcze, że wszystkie te moje małe sukcesy w college’u rozprysły się w zetknięciu z zimnym marmurem i szkłem fasad drapaczy na Madison Avenue niczym bąbelki szampana.

A mówiło się, że przeżywam najlepszy okres swojego życia.

Mówiło się, że jestem obiektem zazdrości tysięcy absolwentek college’u jak Ameryka długa i szeroka, bo one tylko marzą o tym, żeby kuśtykać po brukach nowojorskich

w czarnych lakierkach na zbyt wysokich obcasach numer trzydzieści siedem, zakupionych u Bloomingdale'a w czasie przerwy obiadowej wraz z paskiem z takiej samej czarnej lakierowanej skóry i czarną lakierowaną torebką, żeby była całość. A kiedy, na dodatek, w piśmie, w którym cała nasza dwunastka pracowała tego lata, ukazała się moja fotografia – ja z koktajlem w ręku, wciśnięta w przyciasną bluzkę z imitacji srebrnej lamy, wpuszczoną w namarszczoną spódniczkę z białego tiulu, otoczona grupą wspaniale zbudowanych młodych, anonimowych Amerykanów, specjalnie, rzecz prosta, na okazję tę wynajętych – było dla wszystkich oczywiste, że bawię się na sto dwa.

To może się zdarzyć tylko w naszym kraju, mówiono. Bo popatrzcie. Oto dziewczyna, która dziewiętnaście lat życia spędza na zabitej deskami prowincji, tak biedna, że nie może sobie nawet pozwolić na zaabonowanie magazynu, dostaje stypendium, studiuje w pierwszorzędnym college'u, otrzymuje jedną nagrodę, potem drugą i wreszcie wysyłają ją do Nowego Jorku, gdzie zaczyna sterować tym miastem jak własnym samochodem.

Tylko że ja nie sterowałam ani tym miastem, ani w ogóle niczym, nawet własnym losem. Po prostu telepałam się z hotelu do redakcji, z redakcji na przyjęcie, z przyjęcia do hotelu, z hotelu do pracy jak bezwolny trolejbus. Powin- nam się była chyba cieszyć tym wszystkim i przejmować jak inne dziewczyny, ale jakoś nie umiałam wykrzesać z siebie żadnej reakcji. Było mi obojętnie i bardzo pusto – tak musi

być w oku cyklonu. Absolutna cisza w samym środku szalejącego żywiołu.

W hotelu mieszkaliśmy w dwunastkę.

Wszystkie byłyśmy laureatkami konkursu, rozpisanego przez znany magazyn kobiecy, na wiersze, opowiadania i slogany. W nagrodę otrzymałyśmy miesięczną pracę w redakcji magazynu w Nowym Jorku. Opłacono nasze bieżące wydatki, a do tego dochodziły niezliczone ilości rozmaitych darmowych imprez, bilety na balet, na pokazy mody. Słynny zakład fryzjerski dbał o nasze włosy, ułatwiano nam spotkania ze znanymi osobistościami świata kultury i nauki oraz umożliwiano zasięganie porad w sprawie pielęgnacji cery.

Do dzisiaj mam zestaw szminek dla osoby o ciemnych oczach i włosach, owalne pudzeczko z tuszem do rzęs i miniaturową szczoteczkę, okrągły pojemniczek niebieskich cieni do powiek, tyci, w którym akurat mieści się czubek wskazującego palca, i trzy pomadki do ust – od pomarańczy do fuksji – wszystko to umieszczone w złożonym pudełku z lusterkim na wieczku. Mam też biały futerał do okularów słonecznych, nabijany kolorowymi muszelkami i cekinami, ozdobiony małą rozgwiazdą z masy plastycznej.

Wiedziałam dobrze, że firmy traktują te prezenty jako darmową reklamę swoich wyrobów, ale nie chciałam być cyniczna. Bo szczerze mówiąc, te hojne dary bardzo mnie cieszyły. Jeszcze przez dłuższy czas ukrywałam je po różnych kątach, a później, kiedy wyzdrowiałam, wydobyłam

wszystkie z ukrycia i teraz trzymam je znowu na wierzchu. Od czasu do czasu używam pomadki do ust, a w zeszłym tygodniu odprułam rozgwiążdę z masy plastycznej z futerału na okulary słoneczne i dałam ją małej do zabawy.

Tak więc w hotelu mieszkaliśmy w dwunastkę, w tym samym skrzydle, na tym samym piętrze, w pojedynczych pokojach, jedna obok drugiej, co zresztą przypominało mi życie w domu studenckim. Nie był to normalny hotel – to znaczy taki, w którym mieszkają zarówno mężczyźni, jak i kobiety, jak popadnie, na tych samych piętrach.

Hotel ten – nazywał się Amazonka – przyjmował wyłącznie kobiety, a były to przeważnie moje rówieśnice, córki zamożnych rodziców, którzy chcieli mieć pewność, że mężczyźni nie będą mieli do nich dostępu i nie będą mogli ich uwieść. Wszystkie te panny uczęszczały do szkół dla sekretarek, jak na przykład szkoła pani Katy Gibbs, gdzie wymagano, żeby przychodziły na lekcje w kapeluszach i rękawiczkach, albo były już takich szkół absolwentkami i teraz pracowały dla różnych dyrektorów bądź po prostu obijały się po Nowym Jorku i czekały na dobrą partię.

Wyglądało na to, że dziewczęta te okropnie się nudzą. Obserwowałam je, jak leżąc na tarasie, robią wszystko, żeby zachować przywiezioną z Bermudów opaleniznę, jak ziewają, malują sobie paznokcie u nóg, no i, jak już powiedziałam, śmiertelnie się nudzą. Jedna z nich mówiła mi, że jest znudzona wycieczkami na jachtach, znudzona lataniem samolotami dokoła świata, znudzona jazdą na

nartach w Szwajcarii i na dodatek znudzona mężczyznami, których poznała w Brazylii.

Mdli mnie na widok takich dziewcząt. Robię się z miejsca tak zazdrosna, że mowę mi odbiera. Miałam dziewięćnaście lat i z wyjątkiem tej wycieczki do Nowego Jorku nie ruszyłam się jeszcze nigdy poza Nową Anglię. Była to więc moja pierwsza wielka życiowa szansa, a ja siedziałam i jak głupia pozwalałam, żeby mi ta szansa przeciekała przez palce jak woda.

Przypuszczam, że jedną z przyczyn moich wszystkich kłopotów była Doreen.

Nigdy w życiu nie znałam podobnej dziewczyny. Doreen przyjechała z głębokiego Południa, z college'u dla bogatych panienek. Miała bardzo jasne, niemal białe włosy, które okalały jej głowę jak cukrowa wata, oczy niebieskie, niemal przezroczyste, jak twarde, wypolerowane paciorki z agatów i równie niezniszczalne. Jej usta stale układały się w dziwny uśmiešek. Uśmiešek bynajmniej nie przykry, raczej wesoły i tajemniczy zarazem. Uważała, że ludzie nie są nazbyt mądrzy i że gdyby chciała, to z każdego zrobiłaby balona.

Doreen wybrała sobie mnie na przyjaciółkę. Od pierwszej chwili. Dała mi do zrozumienia, że uważa mnie za znacznie inteligentniejszą od pozostałych, a ja z kolei muszę przyznać, że była to naprawdę bardzo zabawna dziewczyna. Z reguły siadała obok mnie przy stole konferencyjnym, a kiedy nasi znakomici prelegenci wygłaszali swoje referaty, szeptała mi na ucho dowcipne i zgrzyźliwe uwagi.

W tym jej college'u, opowiadała mi, dziewczyny były tak zwariowane na punkcie elegancji, że robiły sobie pokrowce na torebki z tego samego materiału co suknie i w ten sposób do każdej toalety miały dobraną niby to specjalną torebkę. Tego rodzaju pomysły zawsze robiły na mnie kolosalne wrażenie. Kojarzyły mi się z życiem pełnym zamierzonej, starannie przemyślanej dekadencji, a to przyciągało mnie jak magnes.

Jeden jedyny raz Doreen nawrzeszczała na mnie. Wtedy, kiedy denerwowałam się, że nie zdążę oddać roboty na czas.

– Po co ty tak harujesz?

Doreen leżała na moim łóżku, ubrana w jedwabny szlafroczek z łososiowego jedwabiu, i piłowała swoje długie, lekko poźółkłe od nikotyny paznokcie, podczas gdy ja przepisywałam na maszynie wywiad, jaki przeprowadziłam z pewnym znakomitym powieściopisarzem.

Wszystkie miałyśmy krochmalone bawełniane nocne koszule, szlafroki pikowane albo uszyte z materiału frotté, żeby mogły służyć również jako narzutki plażowe. Ale nie Doreen. Doreen paradowała we wspaniałych, półprzezroczystych, długich do ziemi negliżach z nylonu i koronek. Tkaniny lubiła cieliste, przyklejające się do ciała. Wionął od niej bardzo interesujący, trochę piżmowy zapach potu, przypominający liście takiej jednej paproci, które zrywa się, rozgniata w dłoniach i wacha.

– Dobrze wiesz, że stara Jotka nawet nie zauważy, czy oddasz jej to jutro czy dopiero w poniedziałek. – Doreen zapaliła papierosa. Wypuszczała dym przez nozdrza





H
O
T
E
L

i przyglądała mi się jakby zza cienkiej zasłony. – Jotka jest brzydka jak noc – dodała beznamiętnie. – Założę się, że ten jej stary mąż gasi wszystkie światła, zanim się do niej dobierze, inaczej by się zrzygał.

Jotka była moją opiekunką i mimo tego, co mówiła o niej Doreen, bardzo ją lubiłam. W odróżnieniu od innych gaduł, redaktorek naszego pisma, nie nakładała sztucznych rzęs i błyskotliwej tandetnej biżuterii. Była przy tym inteligentna, więc ten wybitny brak urody wcale mnie nie raził. Czytała w kilku językach i znała wszystkich wziętych autorów piszących do kobiecych magazynów.

Usiłowałam sobie wyobrazić Jotkę poza jej nieprzytulnym gabinetem i bez urzędowego kapelusza przeznaczonego na oficjalne obiady, leżącą z tłustym mężem w łóżku, ale jakoś mi to nie wychodziło. Zawsze mam trudności z obrażaniem sobie ludzi w łóżku.

Jotka chciała mnie koniecznie czegoś nauczyć, wszystkie starsze panie zawsze chciały mnie czegoś uczyć, ale nagle nabrałam pewności, że te ich nauki już mi się na nic nie zdadzą. Teraz nałożyłam pokrywę na maszynę do pisania i zamknęłam ją.

– Mądre dziecko. – Doreen się uśmiechnęła.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Kto tam? – Nie chciało mi się wstawać.

– To ja, Betsy, czy idziesz z nami na przyjęcie?

– Chyba tak. – W dalszym ciągu nie chciało mi się podejść do drzwi.

Betsy była importowana prosto z Teksasu razem ze swoimi jasnymi włosami, uczesanymi w koński ogon i uśmiechem ulubienicy pułku. Pamiętam, jak kiedyś wezwano nas do gabinetu pewnego kiepsko ogolonego producenta telewizyjnego, odzianego w garnitur z materiału w prążki. Chciał się dowiedzieć, czy nie mamy jakiegoś pomysłu na program – i Betsy od razu zaczęła mu opowiadać o różnych odmianach teksaskiej kukurydzy. Mają dwie, męską i żeńską. Betsy była tak przekonująca i tak przejęta tą swoją nieszczęsną kukurydzą, że nawet producentowi w końcu stanęły łzy w oczach, ale niestety, jak powiedział, nie był to temat nadający się do magazynu.

Nieco później redaktor działu pielęgnacji urody namówił Doreen, żeby obcięła włosy, i zaczął umieszczać jej zdjęcia na okładce, i nawet teraz widuję czasami jej uśmiechniętą twarz na reklamówkach odzieży firmy Wragge.

Betsy nieustannie prosiła mnie, żebym szła na miasto z nią i jej przyjaciółkami. Zachowywała się tak, jakby chciała się mną zaopiekować. Nigdy jednak nie zapraszała Doreen. Doreen mówiła o niej: ta dojarka.

– Czy chcesz pojechać z nami jedną taksówką? – zapytała Betsy przez zamknięte drzwi.

Doreen potrząsnęła przecząco głową.

– Dziękuję ci, Betsy – krzyknęłam – ale pojedę chyba z Doreen!

– Okej. – Betsy poczłapała w głąb korytarza.

– Pojedziemy, ale zostaniemy tylko tak długo, jak nam się będzie chciało – oświadczyła Doreen, gasząc papierosa o lampkę stojącą przy moim łóżku. – A potem pojedziemy sobie na miasto. Te ich tutejsze przyjęcia przypominają mi szkolne potańcówki w salach gimnastycznych. Nie rozumiem, dlaczego zawsze zapraszają chłopców z Yale. Są taaacy głupi!

Buddy Willard też był z Yale i gdy sobie o nim dzisiaj myślę, dochodzę do wniosku, że również był głupi. Udało mu się wprawdzie dostawać całkiem dobre stopnie i przeżył kiedyś romans z okropną kelnerką o imieniu Gladys, w miejscowości letniskowej na Cape Cod, ale nie miał za grosz intuicji. Doreen za to miała jej dużo. Wszystko, co mówiła, brzmiało jak tekst wydobywający się wprost z moich własnych trzewi.

Utknęłyśmy w tłoku. O tej porze zaczynały się przedstawienia w teatrach. Nasza taksówka stanęła za taksówką Betsy, a przed taksówką, w której siedziały jeszcze cztery dziewczęta, i nie mogła ruszyć z miejsca.

Doreen wyglądała cudownie. Miała na sobie białą koronkową suknię z ogromnym dekoltem, bardzo obcisłą, zapinaną na zamek błyskawiczny, a pod nią gorsecik, który ścisnął ją szalenie w pasie, a uwypuklał to, co nad i pod. Skórę miała opaloną, jak gdyby wypolerowaną i lekko przy-pudrowaną, a pachniała jak cała perfumeria.

Ja nałożyłam obcisłą czarną suknię z szantungu, za którą zapłaciłam czterdzieści dolarów. Kiedy dowiedziałam się,

że jestem jedną ze szczęściarek, które pojedą do Nowego Jorku, wypuściłam się na miasto i wydałam sporą część stypendium na wyprawkę. Ta czarna suknia została zakupiona właśnie wtedy. Miała jakiś taki dziwny krój, że nie pasował pod nią żaden stanik, ale to właściwie nie miało większego znaczenia. Byłam płaska jak chłopak, a poza tym uczucie całkowitej niemal nagości sprawiało mi przyjemność i pomagało przeżyć te gorące, parne noce.

Miasto wpłynęło fatalnie na stan mojej opalenizny. Byłam teraz żółta jak Chińczyk. Normalnie martwiłabym się z powodu tej sukni i tej żółtej cery, ale obecność Doreen każała mi zapomnieć o wszystkich moich zmartwieniach. W jej towarzystwie czułam się jak stary, kuty na cztery nogi cynik.

W pewnym momencie jakiś facet w niebieskiej sportowej koszuli, w czarnych obcisłych spodniach i kowbojskich butach oderwał się od drzwi baru, wyłonił się spod pasiastej markizy i zaczął zbliżać się do naszej taksówki lekko kołysząc się krokiem. Od razu wiedziałam, że nie chodzi mu o mnie, ale, oczywiście, o Doreen. Przemknął zręcznie między samochodami i wsunął głowę przez nasze otwarte okienko.

– A cóż to, jeżeli można zapytać, dwie ładne samotne panienki robią w taksówce w taki piękny wieczór?

Uśmiechnął się szerokim durnym uśmiechem prosto z reklamy pasty do zębów.

– Jedziemy na przyjęcie – wymknęło mi się, a to dlatego, że Doreen nagle zupełnie zidiociała i tylko coś tam

kręciła przy swoim białym koronkowym pokrowcu na torebkę.

– To nuda – oświadczył młody człowiek. – Proponuję, żeby panie wypily ze mną jednego w tym oto barku. Czeka tam na mnie kilku przyjaciół.

Wskazał głową grupę dość dziwacznie ubranych młodzieńców, którzy stali pod markizą. Obserwowali go od samego początku, a teraz, kiedy na nich spojrzął, wybuchnęli śmiechem.

Śmiech ten powinien być dla mnie ostrzeżeniem. Był to taki niezbyt głośny, wszechwiedzący rechocik, ale w tej samej chwili samochody zaczęły ruszać i wyglądało na to, że jeżeli nie zdecydujemy się szybko, to za dwie sekundy będziemy żałowały, że nie skorzystałyśmy z okazji obejrzenia Nowego Jorku z innej nieco strony, niż zaplanowali nasi opiekunowie z redakcji magazynu.

– No jak, Doreen? – zapytałam.

– No i jak, Doreen? – powtórzył za mną młody człowiek i dalej się uśmiechał.

Do dzisiejszego dnia nie wiem, jak wyglądał bez tego uśmiechu na twarzy. Wydaje mi się, że uśmiechał się przez cały wieczór. To musiała być jego druga natura. Ten uśmiech.

– No, niech będzie – powiedziała Doreen do mnie.

Otworzyłam więc drzwiczki i wysiadłyśmy z taksówki w momencie, w którym właśnie zaczęła ruszać. Pobiegłyśmy w stronę baru. Za nami rozległ się straszliwy zgrzyt hamulca i kilka głuchych uderzeń.

– Hej, zaraz! – Nasz taksówkarz, wściekły i purpurowy na twarzy, wysunął głowę. – Co to ma znaczyć?

Zatrzymał się tak gwałtownie, że taksówka jadąca za nim musiała stuknąć go w bagażnik, a wszystkie cztery znajdujące się w niej dziewczyny obsunęły się z siedzeń. Widziałyśmy, jak się gramolą i wierzgają nogami.

Młody człowiek roześmiał się, przeprowadził nas na chodnik, wrócił do taksówki i wręczył kierowcy banknot. Rozległo się straszne trąbienie, zaczęły padać wyzwiska, ale zaraz potem wszystkie dziewczęta z naszego magazynu przesunęły się taksówkami jak korowód weselny złożony z samych druhen.

– Chodź no tu, Frankie. – Nasz młody człowiek skinął na niskiego rozczochranego faceta, który oderwał się od grupy kolegów i wszedł z nami do baru.

Nie cierpię takich typów. Miał zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu. Jak stoję obok niskich mężczyzn, nachylam się, żeby być niższa, zapadam się w talii, przy czym jedno biodro idzie wyżej, a drugie niżej. Zaczyna mi być głupio i na dodatek mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią.

Przez chwilę miałam płonącą nadzieję, że dobierzemy się według wzrostu, a wówczas mnie przypadłby ten młody człowiek, który nas poderwał, bo miał dobre metr dziewięćdziesiąt, ale nic z tego, od razu poszedł naprzód z Doreen i nawet na mnie nie spojrział. Udawałam, że nie widzę Frankiego, który pętał się gdzieś w okolicy mojego łokcia, a kiedy usiedliśmy, niemalże przytuliłam się do Doreen.

W barze było tak ciemno, że widziałam właściwie tylko ją. Jej jasne włosy i biała suknia srebrzyły się w ciemności, myślę, że to z powodu lampy neonowej nad barkiem. Czulałam, że rozmazuję się w tym świetle jak negatyw jakiejś osoby, której nigdy w życiu przedtem nie widziałam.

– No więc, czego się napijemy? – zapytał nas młody człowiek z tym swoim szerokim uśmiechem.

– Myślę, że może koktajl Old Fashioned – rzuciła Do-reen w moją stronę.

Zamawianie napojów nie było moją mocną stroną. Nie odróżniałam whisky od dżinu i nigdy nie udawało mi się dostać czegoś, co by mi naprawdę smakowało. Buddy Willard czy inni studenci, z którymi dotychczas wychodziłam, albo nie mieli pieniędzy na prawdziwy alkohol, albo w ogóle nie pili. Zadziwiające, ilu studentów nie pije ani nie pali. W każdym razie wszyscy moi znajomi. Najśmielsze posunięcie Buddy’ego Willarda w tej dziedzinie miało miejsce tego dnia, kiedy kupił butelkę dubonneta, a i to zrobił tylko i wyłącznie dlatego, by udowodnić mi, iż jest estetą, mimo że studiuje medycynę.

– Dla mnie wódka – powiedziałam.

Młody człowiek spojrział na mnie z zainteresowaniem.

– Z czym? – zapytał.

– Czysta – odparłam. – Zawsze piję czystą.

Obawiałam się, że się wygłupię, jeżeli zażądam do wódki lodu albo dżinu, albo czegokolwiek. Widziałam kiedyś reklamę firmy produkującej wódkę, kieliszek pełen prze-

zroczystego płynu, stojący samotnie na bryle lodu wśród śnieżnej zamieci. Cały obrazek tonął na dodatek w błękitnej poświacie, wódka zaś była krystaliczna, przezroczysta jak woda, wydedukowałam więc, że wódkę pije się czystą, z niczym nie zmieszaną. Podszedł kelner i chłopcy złożyli zamówienie. W tym swoim kowbojskim przebraniu nasz gospodarz wyglądał tu jak u siebie w domu i pomyślałam, że może jest to jakiś znany człowiek.

Doreen milczała i tylko bawiła się niewielką korkową matą, która leżała przed nią na stole. Po chwili zapaliła, ale było widać, że on nie miał jej tego za złe. Wybałuszał na nią oczy, jakby stał w zoo przed klatką z małpą i czekał, żeby odezwała się ludzkim głosem.

Przyniesiono drinki, a moja wódka wyglądała zupełnie jak na tamtym obrazku, biała i przezroczysta.

– Co pan robi? – zapytałam wreszcie naszego gospodarza, by przerwać milczenie, które obrastało nas jak gęsta trawa w dżungli. – To znaczy chciałam zapytać, co pan robi tu, w Nowym Jorku.

Powoli i jak gdyby z wielkim wysiłkiem oderwał oczy od nagiętego ramienia Doreen i powiedział:

– Jestem dyskdzokejem. Może pani o mnie słyszała. Nazywam się Lenny Shepherd.

– Ja pana znam – odezwała się nagle Doreen.

– To mnie bardzo cieszy, kochana. – Roześmiał się. – To się świetnie składa. No tak, jestem znany, wszyscy znają mnie jak zły szeląg.

Po czym Lenny Shepherd spojrział długo i przeciągle na swojego towarzysza.

– Hej! – odezwał się tamten. – Skąd wy, dziewczyny, jesteście i jak się nazywacie?

– To jest Doreen – odparł Lenny, objął jej nagie ramiona i przycisnął ją do siebie.

Ze zdumieniem stwierdziłam, że Doreen zupełnie na to nie reaguje. Po prostu siedziała sobie, ciemnoskóra, niczym tleniona Murzynka w białej sukni, i wytwornie pociągała ze swojego kieliszka.

– Nazywam się Elly Higginbottom i mieszkam w Chicago – skłamałam i natychmiast poczułam się bezpieczniej. Nie chciałam, żeby to, co robiłyśmy tu, w tym barze, kojarzyło się w jakikolwiek sposób z moim prawdziwym nazwiskiem, ze mną i moim rodzinnym Bostonem.

– No to fajno, Elly, zatańczymy?

Myśl o tańcu z tym pokurczem w pomarańczowych butach na koturnach, skąpym podkoszulku i wymiętej granatowej sportowej marynarce wydała mi się wprost śmieszna. Nie cierpię facetów w granatowych ubraniach. Szare, czarne, a nawet brązowe, proszę bardzo. Ale granatowe ubranie jest dla mnie po prostu śmieszne.

– Nie mam nastroju – odpowiedziałam wyniośle, odwróciłam się do niego plecami i przysunęłam się wraz z krzesłem do Doreen i Lenny'ego.

A oni wyglądali, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi. Doreen długą srebrną łyżką wyciągała kawałki owoców z dna

swojej szklanki. Wkładała je do ust, a wtedy Lenny warczał cicho jak pies, który widzi kość, i udawał, że niby chce jej zabrać ten kęs. Doreen chichotała i dalej wyławiała owoce ze szklanki.

Wódka mi smakowała. Nareszcie znalazłam swój trunek. Nie miała określonego smaku i spływała gładko do żołądka jak nóż połykacza noży, dodając mi animuszu i boskiej pewności siebie.

– To ja sobie chyba pójdę – oświadczył Frankie i podniósł się.

Było tak ciemno w tym barze, że nawet go dobrze nie widziałam, ale po raz pierwszy dotarło do mnie, że ma piskliwy, głupi głosik. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Hej, Lenny, jesteś mi coś winien. Pamiętasz, Lenny, pamiętasz, że jesteś mi coś winien?

Wydało mi się bardzo dziwne, że wybrał sobie akurat ten moment, żeby przypomnieć Lenny'emu, że ten mu jest coś winien, ale stał i powtarzał to zdanie w kółko, i to dopóty, dopóki Lenny nie wsunął ręki do kieszeni, nie wyciągnął grubego zwitka zielonych banknotów i nie wręczył mu jednego. Wydaje mi się, że był to banknot dziesięciodolarowy.

– Zamknąć mi się już i wynocha – syknął.

Przez chwilę myślałam, że dotyczy to również i mnie, ale zaraz usłyszałam słowa Doreen.

– Nie pójdę nigdzie bez Elly – powiedziała. Trzeba jej przyznać, że bez wahania nazwała mnie moim przybranym imieniem.

– O, Elly pójdzie z nami, prawda, Elly? – Lenny mrugnął do mnie.

– Pewnie – odpowiedziałam.

Tamten rozpląnął się, więc pomyślałam sobie, że chyba naprawdę pójdę z nimi. Ostatecznie chciałam przeżyć, ile się da.

Szalenie lubię przyglądać się ludziom znajdującym się w podbramkowych sytuacjach. Wypadek drogowy, bójka uliczna, embrion pływający w słoju pełnym spirytusu. Interesuje mnie wszystko. Stoję i gapię się tak intensywnie, jak gdybym chciała to zapamiętać na całe życie.

W ten sposób nauczyłam się bardzo wielu rzeczy i nawet jeśli coś przeraża mnie albo przyprawia o mdłości, niczego po sobie nie pokazuję i zawsze udaję, że dokładnie tak to sobie wyobrażałam.